Nr. 7. Lwów, 1. Kwietnia 1887. **Rocznik VIII.**

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA i EKSPEDYCYA:
ul. Sykstuska, L. 37. wchód od Ossolińskich
ADMINISTRACYA:
Zarząd drukarni we Lwowie,
Rynek L. 9.
Nra. pojedyncze sprzedawane będą w księgarni Polskiej plac Halicki.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct. i jest do nabycia w Administracyi i w księgarni Polskiej.

PRZEDPŁATA
„Strażnica polska“ kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
z przysyłką do domu . 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

†

S. p. Józef Ignacy Kraszewski

Nie tylko na ziemi polskiej, ale i tam, gdzie Polaka rzuciły losy, a echo zaniosło hiobową wieść o śmierci Józefa Kraszewskiego, tam wszędzie zapanowała wielka żałoba w sercach i duszach bratnich i łza gorąca popłynęła z oka. — Nie bije już to serce, które taką wielką miłością ukochało Boga i Polskę i dla nich tylko całym bytem na ziemi żyło.

Zaiste, tacy wierni synowie Ojczyzny, nie zawsze się rodzą, bo takie apostolstwo jak ś. p. Józefa, potrzebuje nietylko wielkich sił i zasobów umysłowych, ale jeszcze większej niczem nieugiętej żelaznej woli, by się jak łańcuchem żelaznym przykuć z dobrej woli do pracy tytanicznej, jaką Kraszewski spełniał wyrósłszy zaledwie na młodzieniaszka aż do późnej starości — dopokąd myśl się nie zamroczyła, a pióro nie wypadło z bezwładnej już ręki.

Jakaż chwała dla ciebie Warszawo, żeś Polsce takiego syna wydała.

Miała Polska wielu znakomitych mężów, a bratnich po piórze Kraszewskiemu; zalicza w Pantheonie sławy swej wielkich wieszczów, przed którymi czoła ugina i oddaje im hołd prawie cały świat ucywilzowany.

Byli powieściopisarze tak płodni, że się stali chlubą narodów, do których należeli. — A jednak uczyniwszy ścisły rachunek prac ś. p. Józefa Kraszewkiego, można śmiało wątpić, czy go ktokolwiek przewyższa.

Lecz nie jest to jeszcze ta jedyna zasługa, że pozostawił w spuściźnie po sobie tak wielki plon tej olbrzymiej pracy, gdyż zasługa prawdziwa jego leży w tem, że od kolebki do skonu, praca ta miała tylko jeden cel, jeden ideał niepokalany, święty — Polskę. Blisko przez lat sześćdziesiąt władając piórem, nie napisał ani jednego słowa, które nie było godne tej wielkiej misyi, jaką głosił w narodzie, z którego się zrodził. — Kraszewski, nigdy się nieoglądał za siebie, czy to co napisze spodoba się komu lub nie. Liczył się tylko z Bogiem i własnem sumieniem, wiernego syna Ojczyzny. — Dla niej tylko żył i pracował bez wytchnienia — bo nie miał i nie znał innego celu.

Nie dziw też, że imię jego stało się swojskiem, bratniem, zacząwszy od słomianej strzechy przez wszystkie warstwy społeczne. — Nie było zakątka — w którymby nie znano Kraszewskiego i nie wzmacniano sił jego duchowym pokarmem, nie czerpano zeń otuchy i nauki.

Czytając dzieła Kraszewskiego, aczkolwiek nie wszystkie tchną jednolitą siłą — to jednak każda książka zdumiewać musi, z jaką skrzętnością, z jaką dokładnością, prawdą, odtwarzał wszystkie warstwy społeczne i każdą postać z osobna nietylko ze znanej nam epoki — ale z dawniejszej przeszłości, aż do pierwszych wieków dziejowych. — Potrzeba było zaiste wielkiej potęgi myśli i oka, aby te na setki, nieomal na tysiące liczące się charaktery, typy, postacie, nietylko dopatrzeć okiem, ale odczuć natchnieniem. — Nauka oparta na używotnionych przykładach, jak żyć polskim synom i córom, a czem być nie powinni i co zawsze będzie gubić Ojczyznę, co jej męczeństwo pomnażać będzie, oto był jedyny cel żywota tego wielkiego naszego Apostoła.

Zdawaćby się więc powinno, że tylko nieubłagani wrogowie Ojczyzny naszej zatruwali żywot tego apostoła, krwawili mu serce i duszę. — Niestety, kronika żywota ś. p. Józefa Kraszewskiego wskazuje nam jeszcze inne bole, inną poniewierkę i znęcanie się, które przynajmniej w znaczeniu duchowem, moralnem, nie jest mniej ohydne, jak poniewierka i pastwienie się, jakiego przy schyłku żywota tego starca dopuszczało się na nim Krzyżactwo Teutońskie.

A któż stanowił tę falangę wrogów śmiertelnych, nieubłaganych, jeżeli nie ten zastęp potomków Targowicy, który Polskę schował do grobu?

Kraszewski, chociaż szlachcic ze starego rodu, i sam szlachectwo szanował, nieuważał za właściwe, aby się szeregować z tymi, przy których krom imienia i herbu, nic więcej ze szlachetności rodowej nie pozostało w spuściźnie.

Kraszewski nie uchylił nigdy czoła przed T a r g o w i c ą. — Nie umaczał nigdy pióra dla jakiegokolwiek podchlebstwa, bo czyn taki uważał za hańbę, którą się splamić prawdziwemu synowi Polski nie wolno. — A gdy nie pomagały bratnie nawoływania, nie brakło mu nigdy cywilnej odwagi, aby niepoprawnych, grzeszących, karcić według tego co czynią.

Kraszewski, widząc niebezpieczeństwo, jakie grozi przyszłości naszej, nie zważał na frazes fałszywie pojmowany i głoszony, że: „n i e w o l n o k a l a ć w ł a s n e g o g n i a z d a“. — Mąż ten, apostoł, nie zawahał się ani na chwilę, aby napisać i wydać pod sąd opinii publicznej, pod sąd Narodu *Latarnię czarnoksięską*, „Rachunki“ i inne dokumenta, gdzie idą n i e p o p r a w n i, w y r o d n i i dokąd naród prowadzą. Nic też dziwnego, że falanga ta rzuciła klątwę na starego rodu szlachcica, który jej nie chciał uznać za brać swoją, dopokąd się nie obmyje, nie oczyści z grzechów. Cofano się od niego, jak od dotkniętego trądem, zohydzano oszczerstwami i plwano w najstrętniejszy sposób. A gdy nie chciał zejść z raz obranej drogi, gdy się nie chciał sprzeniewierzyć sztandarowi pod jakim bojował, gdy nie chciał ugiąć czoła przed Targowicą, ogłoszono go paryasem, a nie mogąc głośno, ujęto za praktykę tchórzostwa, gryząc i prześladując potajemnie.

To co piszemy, są to zresztą fakta aż nadto znane i dowiedzione.

Pamiętny dzień jubileuszu Kraszewskiego, do jakiego się cały naród polski przyłączył, wskazał zarówno aż nadto jasno, czem są wśród nas potomkowie Targowicy — i do czego zdolni spadkobiercy grabarzy Ojczyzny. A jakim cynizmem, butą niskiej zemsty i nienawiści do wszystkiego co szlachetne świecą w tej chwili, dowodzi najlepiej ich organ „**Czas**“ — który wobec żałoby całego narodu, zajął stanowisko wręcz odrębne, donosząc w kąciku swej zbrukanej szmaty, że Kraszewski umarł w Genewie.

Czy ta falanga Targowickich potomków myśli, że tym więcej jak niskim czynem, sponiewierała cienie wielkiego patryoty, ubliżając rozmyślnie jego cieniom? — Odpowiadamy — nie! Ale przeciwnie, „**Czas**“, oddał wielką przysługę, bo postępek ten uczyniony w imieniu Targowicy, otworzy do reszty oczy narodowi, czem ona jest i do czego zdolna. Naród Polski nie zapomni tej obelgi, spadkobierców grabarzy Ojczyzny. Łaska Boża, i sprawiedliwość jest daleko większa, potężniejsza od złości ludzkiej.

Ducha Kraszewskiego nic złamać nie potrafiło; ani żywot tułaczy, ani męczeństwo w kazamatach Magdeburskich, ani usiłowania włożenia na niego przez Teutonów piętna „zbrodniarza.“

Czy zaś i tu nie ujawni się kiedyś czarna, zbrukana ręka Targowicy — to czas pokaże.

Męczennik ten, chociaż rozłączony ciałem od ukochanej nad wszystko Ojczyzny, to jednak nie było siły ludzkiej, aby rozłączyć od niej jego ducha. Pod jakiemkolwiek niebem zmuszony dać wypocząć skorupie cielesnej, krzepił swe siły tym prądem nieustającym, który go łączył z Polską; a jeżeli rzucił gdzieindziej okiem, to tylko dlatego, aby chociaż grudkę, ziarnko jakie zdobyć, dla przesłania go bratnim duszom nad Wisłę, Niemen, Wartę, Dźwinę lub Dniestr. Chociaż ciało zmuszone do tułactwa po obcych ziemiach, duch się nie rozłączał i żył tylko w tych świętych dlań granicach. Łączność ta nieustająca z Polską krzepiła i ożywiała coraz więcej wycieńczające się siły, stargane ostatecznie w więzieniu fortecznem, z którego wyszedł za Łaską Bożą bodaj czy nie dla tego jedynie, aby nie skonać za kratami i aby mu obca wroga ręka nie zamknęła powiek do snu wiecznego.

Jak wiadomo, Kraszewski uwolniony został chwilowo z więzienia jedynie może dla tego, iż stan jego zdrowia był rzeczywiście zastraszający, a katastrofa mogła nastąpić każdej chwili. Śmierć tego znakomitego męża za kratami więzienia byłaby bądź co bądź okryła straszną sromotą tych, którzy go tam wtrącili, — chciano więc tego następstwa uniknąć. Poznano jednak na wskróś szlachetny charakter tego męczennika i wiedziano o tem dobrze, że wypuszczony na proste słowo, wyrzeczone na piśmie, Kraszewski byłby niezawodnie wrócił, chociażby wiedział że tylko po to, aby tam umrzeć za kratami.

Taki koniec byłby jeszcze większym sromem okrył wrogów jego. Chcąc więc tej ostateczności uniknąć, kazano Kraszewskiemu złożyć okup za resztkę żywota, co też uczynił, płacąc w gotówce Krzyżakom 20.000 marek.

Dopełniwszy tego żądania, nie miał już żadnych innych obowiązków względem swoich wrogów, jak tylko, rozważyć co miał więcej cenić: czy spędzenie resztek żywota jako wolny, czy 20.000 marek. Niepohamowana jednak w mściwości swej Targowica dla której skon Kraszewskiego był nietylko, jak obecnie widzimy, rzeczą obojętną, ale pożądaną, — nie wahała się wskazywać temu mężowi drogę „h o n o r u p o l s k i e g o,“ do czego ten obowiązuje, to jest: że Kraszewski pomimo złożonego okupu pieniężnego za głowę swoją — winien był powrócić do więzienia gdy mu się urlop skończył i tam naturalnie umrzeć. Jakaż dziwna harmonia z obecnymi poglądami Krzyżaków,

Tu jednak, oprócz spadkobierców Targowicy, decydował jeszcze inny sąd, a tym był głos całego narodu polskiego i ten orzekł, że Kraszewski nie ma żadnych obowiązków względem Niemców.

Gdy męczennik ten opuścił mury fortecy Magdeburskiej i ujrzeli go rodacy, ogarnął ich niewymowny żal, bo widzieli, że te katusze jakie przebył, pchnęły go po nad grób i że dni jego są policzone i każdy dzień zdobyty tylko być może upornym targiem z prawami natury.

Kraszewski był jednak na wszystko przygotowany; — znał i czuł, że walka ducha uledz musi prawom fizycznym. Nie było to ale dla niego powodem, aby odpocząć i pokrzepić zwątlone siły, usunąć się od pracy. Chociaż pióro często z rąk wypadało, podnosił je skwapliwie i pisał swe posłannictwo, nie spuszczając z oka ani na chwilę obszarów ziemi polskiej, bacząc pilnie na ruch dziejowy i społeczny w Ojczyźnie. Tak wytrwał aż do skonu.

Jakiż to wielki zapas miłości musiał być w jego sercu! Jakiż to przykład do naśladownictwa pozostawia on w spuściźnie synom Polski.

Że ten co napisał d o t y s i ą c a t o m ó w, był najpłodniejszym powieściopisarzem, stanowi chlubę narodu polskiego, to nie ulega wątpliwości; — ale tu nie kończą się jeszcze zasługi Kraszewskiego wobec narodu, z którego się zrodził, gdyż w całej jego sześćdziesiątletniej pracy nie znajdzie nikt ani śladu, aby gonił za chwałą osobistą, a przynajmniej usiłował ją zdobyć w szerszych granicach, jak Polska.

Geniusz jego i praca żelazna były więc tylko jednym nierozerwanym łańcuchem apostolstwa narodowego. Otóż nie może być inaczej, że cały naród polski go umiłował, ukochał w sercu swem i duszy, a dziś skrapia mogiłę Wielkiego obywatela patryoty gorącemi łzami żalu po nim.

Dziwnym zbiegiem przeznaczenia, skon tego męczennika patryoty nastąpił w chwili, gdy w Berlinie obchodzoną jest wielka uroczystość jubileuszowa dla cesarza Germanii, a Polacy obecni przy skonie męczennika z fortecy Magdeburskiej wysłali telegram o śmierci jego do żelaznego kanclerza Bismarka. Czy wieść ta nie zamieniła się w tej chwili na „ducha Banka?“

Kraszewski wydał ostatnie tchnienie jako prawdziwy tułacz, rzucany losem z jednego miejsca w drugie, nie wiedząc, gdzie mu odpocząć Bóg pozwoli. Umarł w drodze tułaczej, pod dachem gospody, ale nie w samotności okropnej, bo łoże jego otaczały serca gorące — również jak on braci tułaczy — i nie obca, ale bratnia ręka zamknęła mu powieki. Umarł niezakażony żadnym niepolskim obłędem, wierny wierze ojców, pojednany z Bogiem, wierny jedynemu prastaremu ideałowi Narodu, wierny sztandarowi *Orła, Pogoni i Archanioła.*

I jakby jednym kirem pokryła się cała Polska, bo straciła jednego z najdzielniejszych jej synów.

A z jaką tęsknotą oczekuje cały naród chwili, gdy te ukochane dlań zwłoki przywiezione zostaną do prastarego grodu Krakusa, pojmie i odczuje każdy, w kim polskie serce bije.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Konserwatyzm a naród.

Przed dwoma przeszło tygodniami, kiedy część prasy polskiej, po udzieleniu narodowi rady, ażeby wobec niepewnej sytuacyi nie ważył się manifestować swoich potrzeb, uczuć i praw do lepszej doli — i kiedy nastąpiło milczenie — zawołali konserwatyści z radością: Zwyciężyliśmy! Skutku takiego nie przewidywali redaktorowie dzienników, które chcą uchodzić za wyraz uczuć narodowych. Skutek taki musiał jednak nastąpić. Kto protestuje jedynie, i to w duchu miłym jowialnym wynikom konserwatyzmu, staje się pomimowoli ich narzędziem. Zadanie to spełniły dzienniki z cechą liberalną. Projekt brzmiał, że naród cały w razie nieprzewidzianych wypadków, nie może i nie powinien upominać się o swoje prawa; nie może i nie powinien przypominać krzywd swoich.

Skorzystali z tego konserwatyści — a zatem ludzie, którym nie szło nigdy o naród, o lud polski i jego interesa, ale szło zawsze o to, ażeby utrzymać jak najdłużej swoje przywileje i swój wyłączny wpływ. Skorzystawszy, wyzyskali gołosłowne, negacyjne oświadczenia *Nowej Reformy, Dziennika Poznańskiego i Dziennika Polskiego.* Gdyby organa wymienione były choć słówkiem napomknęły, jaki może być w danej chwili program narodu, bylibyśmy czytali i słyszeli nowe protesty z twierdz konserwatyzmu, ale gdy rzekoma demokracya zachęciła tylko do bezczynności, nie pozostało nic innego, jak zatrzeć ręce z radości i przyłożyć pieczęć na deklaracyi, która się zamanifestowała bezmyślnością.

Zawołał też pełen otuchy *Kuryer Poznański*, że w słowach *Nowej Reformy* widzi tryumf własnych zasad, że w proteście tym „widzi całkowite uznanie zasad stronnictwa konserwatywnego“. Winszujemy Nowej Reformie towarzystwa, ale otwarcie wyznajemy, że przenosimy nad takie towarzystwo zaszczyt przemawiania w imieniu ludu polskiego i „ulicy“. A tu pokazuje się zarazem, że interesa ludu polskiego i ulicy, nie są zgoła identyczne z tą sferą samozwańczą, która prawi, że stronnictwo konserwatywne ogarnia wszystkich swoją miłością.

Kuryer Poznański oszukuje lud frazesami patryotycznymi, ażeby go wyzyskać dla celów kuryi rzymskiej. Ten sam Kuryer oszukuje i inne warstwy społeczne, a szalbierstwo to tem haniebniejsze, że religii używa za narzędzie, tak samo jak religijności narodu do celów hierarchii katolickiej, nie mającej nic wspólnego z interesami narodu. Dlatego też oszust taki nie ma prawa przemawiać, jak to czyni w imieniu „narodu polskiego i wszystkich jego stronnictw“. Kto bronił aktów dyplomatyczych Kuryi rzymskiej, wymierzonych przeciw narodowości polskiej, ten wyrzekł się polskości, a jeżeli używa jeszcze nadal frazesów patryotycznych, to tylko po to, ażeby nadal oszukiwać. Lud polski wierzy w moc sł wa Namiestnika Chrystusowego, ale właśnie dlatego, że wierzy, nie uwierzy nigdy, ażeby którykolwiek papież zmuszony był uciekać się do poświęcania przyrodzonych praw narodu dla umizgów wielkich tego świata. Jeżeli *Kuryer Poznański* zdoła przekonać o jakiej konieczności uczciwych ludzi inteligencyi, a szczególniej lud polski, to chyba kłamstwem, podstępem i sofizmami.

Wyjaśniliśmy rolę zdrajców w sutannach, ażeby uzasadnić twierdzenie, że najmniej miał prawa wołać ***Kuryer*** w imieniu narodu. Przyłączywszy się do oświadczeń, czyli protestów wymienionych już dzienników, mówią dalej nowocześni Faryzeusze, że „cały naród i wszystkie jego stronnictwa stawają na gruncie, na którym jesteśmy niepokonani i niezwyciężeni“.

Po odrzuceniu tożsamości narodu z konserwatyzmem — ciekawa rzecz, jaki to ten grunt? Organicznej pracy, oświaty kochanego ludu? podnoszenia przemysłu? Tak, to ma na języku stronnictwo konserwatywne, ale nie spełnia tego w czynie i nigdy nie spełni, bo oświata, to samodzielny rozwój ludu polskiego, a tego boją się jak ognia sfery konserwujące swój wpływ i swoje interesa.

Nie możemy zatem podzielać obaw protestowiczów w imieniu konserwatyzmu lub w ich duchu wyrażonych. My wiemy, że lud w Królestwie Polskiem cierpi, nie tai tego, że zapytuje dokąd w razie wojny zbiegać ma z szeregów moskiewskich; wiemy, że miara jego cierpliwości już się przebrała; wiemy nie z domysłów, ale pewnie, że lud unicki zdziwiony jest obojętnością Papieża, w którego siłę wierzył, którego protestu wyglądał, a w którego sprawiedliwość i nieomyślność wierzyć przestaje. Wiedząc to wszystko, nie powiemy, że rnch wszelki w chwili stosownej byłby zgubny. Wiemy także, że cicho siedząc, nikt sobie łaski ani praw nie wymodli tam, gdzie system jest dowolnością równą bezprawiu.

Ale wiemy i o tem, że w świecie politycznym, jak w sferze życia prywatnego, stykają się ostateczności. Śmieszność graniczy z najstraszliwszą grozą tragiczną. Śmiesznością jest patetyczne głoszenie, że się pragnie odwrócić nieszczęścia od narodu, który stracił byt polityczny. Czy może być większe nieszczęście nad wyzucie narodu z możności stanowienia o sobie? Czy można sobie wyobrazić większą katastrofę nad chwilę, w której pozbawiono naród głosu w chórze międzynarodowym? Cokolwiek sumienia tylko, cokolwiek namysłu, pouczyłoby Kassandrowiczów we frakach i sutannach, że tragicznego położenia narodu polskiego, nic już spotęgować nie zdoła.

Dobrze jednak powiedział Słowacki z ironią: „Naród musi ginąć, ażeby poeta miał temat do śpiewu.“ — Otóż naród musi cierpieć, ażeby mu jedni mogli powtarzać, że z pewnością nie zginie, byle tylko podtrzymywał na swoich barkach interesa katolicyzmu; i żeby mu znowu stronnictwo konserwatywne mogło prorokować nieszczęścia, gdyby zechciał wystąpić samodzielnie.

Nowe pokolenie, rozpoczyna nowy pochód, skuteczniejszy od poprzednich, bo mogący wyjść z właściwej podstawy narodu, z ludu, więc to oczywiście przeraża stróżów wyłączności. Jak to, nowy pochód, nowe zatem tory, nowy ruch?! wołają i gotowi sami denuncyować go Moskwie i każdemu, kto zapłaci. Tymczasem jednak płaci tym panom za ich prawomyślność i lojalność dziennikarstwo moskiewskie, ale płaci nowym policzkiem i sarkazmem.

Oto pan Suworin w *Nowoje Wremia* powiada: „Z rossyjskiego punktu widzenia — oświadczeń tych nie należy traktować ze szczególniejszym optymizmem, nie wyłączają one możliwego nieprzyjaznego stosunku Polaków do Rossyi w przypadku wojny“.

Tak mówi dziennik rossyjski, pochwaliwszy wprzód panów oświadczających w imieniu Polski, że praw swoich nie będzie przypominała Moskwie wtedy, kiedy ją spotkają kłopoty. Kończy zaś pan Suworin tem, że „byłoby najlepiej, ażeby z pamięci i historyi wykreślić rok 1863“ — czyli innemi słowy: „Wy Polacy, uważajcie odrębność swoją za wykreśloną z naszych umysłów i życzeń“.

Taka jest sprawiedliwość moskiewska i takie poczucie. Myśmy się pod tym względem nie łudzili nigdy. Ale czy wobec tego wolno narodowi położyć się spać i poruczyć swe losy rękom stronnictwa konserwatywnego? Czy ten grunt pewny, na którym ono staje, nie jest znanym gruntem zdrady potrzeb i praw narodowych? Lud polski

Bułgarya we Lwowie.

Dzieje pobratymczego szczepu słowiańskiego, Bułgarów, mianowicie z dwóch ostatnich lat, zajmują gorąco umysły całej Europy, która nie spuszcza oka z tego niewielkiego kraju, o którym do niezbyt dawna miano bardzo niedostateczne, a przynajmniej bardzo błędne wyobrażenie. Wiedziano tylko, że to Słowianie, którzy od dawna pod panowaniem tureckiem zamalgamowali się ze Wschodem, a z charakteru narodowego pozostały zaledwie ślady. Mało też kogo obchodziła chociaż tak spora garść ludu bułgarskiego, który bez starych rodów, bez szlachty, nie świecił tradycyami dziejowemi, które ginęły w pomroce wieków.

A jednak mamy dziś przed oczami namacalne dowody, że w każdej odrębności narodowej, chociażby wiekami gnębiony i tłumiony — duch narodu nie da się zabić i obrócić w nicość. Szczególniej żywotność szczepów słowiańskich posiada tę niespożytą siłę, która się w żadnym innym pierwiastku, chociażby daleko silniejszym, nie rozpływa i w nim nie ginie. Dosyć spojrzeć na kartę Europy i mieć jaką taką znajomość każdego kraju, aby się o tem przekonać. Szczepy słowiańskie mają jeszcze jedną właściwość, a to tę, że tak samo jak w klimacie syberyjskim n. p., gdzie urodzajność ziemi znacznie dłużej wstrzymana śniegami i mrozami, gdy się wiosna tam znacznie później objawia, pomimo to, gdy słońce spuści ciepłe promienie na tę skorupę aż do głębi skostniałą, obumarłą, — siła żywotna objawia się z podwójnym pospiechem, a rozległe przestrzenie, jakby pod różczką czarodziejską, pokrywają się pełną uroku zielenią, bujnym kwieciem i owocem.

W porównawczym poglądzie widzimy taki spotęgowany proces najprzód u Czechów, a obecnie w jeszcze więcej przekonywających zarysach u Bułgarów. Zaledwie dziesiątek lat wystarczył, aby z nicości niewolniczej stali się narodem, którego trudno nie uznać i nie uszanować.

Otóż jeden z dzielnych naszych adeptów sztuki polskiej, **Antoni Piotrowski**, malarz, zaledwie usłyszał echo, zwiastujące, że w Bułgaryi zanosi się na bój, nie licząc się z wszelkiemi możebnemi następstwami takiej artystycznej wyprawy, podążył tam z uznania godnym zapałem spojrzeć wojnie oko w oko jak wygląda, by ją potem w sztuce upamiętnić. Antoniemu Piotrowskiemu umożebniło te ciekawe studya wydawnictwo słynnego pisma angielskiego *Graphic*. P. Piotrowski bodaj czy nie jest pierwszym z artystów polskich, który do takiej reporterki powołany został przez koryfeuszów Albionu.

Artysta nasz jako rysownik z placu boju, wywiązał się znakomicie, a kto miał sposobność oglądania rycin w swoim czasie w *Graphic*, nie szczędził uznania wysoce uzdolnionemu rodakowi.

Po powrocie pod Wawel, wystarczyło artyście zaledwie ośm miesięcy do wykończenia aż ośmiu obrazów olejnych, z których siedm płócien objętych większymi już rozmiarami.

Fakt ten już sam dowodzi, z jaką łatwością przychodzi artyście kreacya, chociaż oświadczyć musimy, że tego pospiechu nie możemy pochwalić p. Piotrowskiemu. Z drugiej strony usprawiedliwić go należy, gdyż i to trzeba uwzględnić, że tylko pod wrażeniem świeżej pamięci można taką prawdę na płótnie utrwalić. Mistrzem nie nazwiemy jeszcze p. Piotrowskiego, ale co mu się słusznie należy — witamy go w naszej epoce jako pierwszego malarza bitew, który swe dzieła sztuki tworzy nie z wyobraźni, czerpanej w opisach bitew, lub pośrednich wskazówek ludzi, biorących w tych bojach udział, ale z rzeczywistości, na którą patrzył własnem okiem.

Drugą zaletą, którą mu również ogólnie przyznać należy, jest trzymanie się ścisłej prawdy, a nie gonienie za fantazyjną scenerą dramatyczną, która nęci wprawdzie oko, ale od prawdy jest daleką.

Przystąpmy teraz do oceny pojedynczych obrazów, i tak:

„*Bitwa pod Sliwnicą*“ — jest to płótno większych rozmiarów. Bój ten rozpoczął się 21. Listopada 1885 r. o 7. godzinie rano. Ze strony Bułgarów było 11 batalionów. Ze strony serbskiej 2 dywizye, czyli 25,000 piechoty. Szanse były więc nierowne, a pomimo to Bułgarzy trzymali się dzielnie. O godzinie 2. po południu weszło na linię bojową 9 nowych batalionów (rumelijskich) piechoty bułgarskiej, a o 3. jedna nowa dywizya serbska (morawska). Bułgarzy nacierali z niesłychaną brawurą — Serbi nie mogąc tego nacisku wytrzymać, rozpoczęli o godzinie 4. stanowczy odwrót.

Obraz przedstawia przestrzeń, obejmującą na tylnym planie na horyzoncie pasmo gór, przed nim

dziwi znawcy śpiewu zaklinali formalnie rodziców „cudownego dziecka“, aby mu nie pozwolili śpiewać, jeżeli zawcześnie nie ma stracić głosu. Panna I. A. przy najwięcej sprzyjających okolicznościach rozwoju sił fizycznych może zaledwie w ośmnastym lub dwudziestym roku korzystać z nauki śpiewu. A więc co mogło spowodować decydującą sferę w Wydziale krajowym, że panna Irena A., córka wyższego, zamożnego, dobrze uposażonego urzędnika *w Wiedniu*, pobiera już przez trzy lata po **pięćset złr.**?

Czy kraj ma prawo łożyć na to „cudowne dziecko“ aż do jego pełnoletności? Jakie ztąd korzyści kraj odniesie?

Zdaniem naszem nie można tego nawet jako wsparcie i jałmużnę uważać, boć by to wyższemu, dobrze położonemu i wyposażonemu urzędnikowi ubliżało. Do takich wsparć są kasy państwowe, ale nie krajowe.

Dalej czytamy:

„Rudolfowi Bernhardowi, na dalsze kształcenie się w śpiewie 150 złr.

Babińskiej, artystce (?) opery lwowskiej, na dalsze kształcenie się w śpiewie 200 „

Kazimierze Heller we Lwowie, na dalsze kształcenie się w śpiewie 300 „

Helenie Łobaczewskiej we Lwowie, na dalsze kształcenie się w śpiewie 100 „

Władysławowi Jamińskiemu, dyetaryuszowi dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie, na dalsze kształcenie się w śpiewie 150 „

Felicyi Romanowskiej we Lwowie, na dalsze kształcenie się w śpiewie 300 „

Razem więc wydano w tym roku na poparcie zbyt względnych talentów śpiewackich 1800 złr.

Jakże subwencyonowano malarstwo i rzeźbę? Oto zastósowano tu „równouprawnienie“, i wydzielono równą sumę 1800 złr., chociaż ani jeden artysta nie otrzymał tak jak fenomenalna I. A. 500 złr., która pobiera już rok trzeci ten znaczny zasiłek.

Odmówiono dalszego poparcia jednemu z bardzo zdolnych młodych artystów w Monachium p. S., który nie ma tak jak śpiewaczka uposażonego ojca: odmówiono innym, których talenta muszą po prostu marnieć, a chłód i głód po akademiach jest ich jedynym udziałem. O prawidłowych studyach akademicznych nie mogą oni nawet myśleć. jeżeli im zbywa na najpierwszych potrzebach do życia. Cóż więc robią? Oto oddają się w niewolę różnych wyzyskiwaczy, lichwiarzy, dla których pracują i w ten sposób wegetują.

Czy zaś subwencyonowane — protegowane w efemerycznych pojęciach śpiewaczki użytkują grosz publiczny krajowy „na kształcenie się dalsze“ w śpiewie, śmiemy o tem wątpić i moglibyśmy złożyć dowody, że zapomogi te krajowe służą jedynie na sprawianie świetnych sukień występowych. Czyż więc pomoc w tym kierunku jest obowiązkiem kraju?

Być może, że p. Oktaw Pietruski, do którego zakresu działania należą wszystkie stypendya, ma szczególne uznanie dla objawów talentów przyszłych śpiewaczek, — ale gdy pomoc taka idzie z funduszów krajowych, to malarstwo i rzeźba powinny mieć pierwszeństwo.

Pomoc kraju, który posiada własną akademię sztuk pięknych i mnóstwo adeptów po innych akademiach, w kwocie 1800 złr. rocznie — i to jako równoważnik wobec śpiewających, podlegać musi bardzo ostrej krytyce i jest obowiązkiem obywateli, aby w najbliższej sesyi sejmowej wnieść zbiorową petycyę w tym względzie i żądać, aby rozdawnictwo zapomóg tych zależało od odnośnej komisyi w Sejmie, a nie od uwzględnienia Wydziału krajowego.

J. N. z O. G.

Korespondencye.

Z nad granicy Królestwa Polskiego.

26. lutego 1887.

Car wydał 11. lutego 1887. r. ukaz, który historya zapisze w rzędzie faktów najwstrętniejszych, my zaś piszemy o nim jako o fakcie, świadczącym, że się nie zanosi na żadną odmianę w ogromie ucisku, jakiego Polska doznaje pod rządem moskiewskim.

Brzmi ten ukaz tak:

„Najjaśniejszy Pan, na skutek najpoddańszego raportu ministra spraw wewnętrznych dnia 11. grudnia 1886. roku, najwyżej zezwolił na przyjęcie na przyszłość prawidła, iżby budowa świątyń chrześcijańskich *innowierczych* (nieprawosławnych) w miejscowościach Królestwa polskiego, zamieszkałych przez byłych Unitów (gubernie siedlecka i lubelska oraz powiaty mazowiecki w gubernii łomżyńskiej i augustowski w gubernii suwalskiej) była dozwalana nie inaczej, jak po skomunikowaniu się władzy cywilnej z wydziałem duchowym prawosławnym; w pozostałych zaś miejscowościach Królestwa, aby określenie konieczności takiego komunikowania się w każdym pojedyńczym przypadku, pozostawionem było do uznania głównego naczelnika kraju.“

Ukaz ten, piszą dzienniki krajowe, z daty Puszkinowego jubileuszu (pięćdziesięciolecie śmierci tego poety, uroczyście obchodzone było w Petersburgu) jest pełen znaczenia z powodu swej prześladowczej dążności.

Według niego, na cały obszar Królestwa polskiego, gdzie przecież żywioł prawosławny jest mało licznym, prawosławie jest urzędową, prawnie uznaną religią, kiedy katolicyzm jest wyznaniem „innem chrześcijańskiem,“ cierpianem niby to, tolerowanem, ale cierpianem i tolerowanem wśród wyjątkowych szykan i udręczeń, jakich żadne inne państwo cywilizacyi XIX. wieku nie zna.

Pierwszy raz w dziewiętnastym wieku, po emancypacyi katolików angielskich w r. 1829, dowiadujemy się o państwie, któreby naprawę i stawianie kościołów jakiegobądź wyznania czyniło zależnemi nie od ogólnych jakichś, obowiązujących administracyjnych przepisów, ale od zezwolenia naczelnictwa kościelnego innych wyznań chrześcijańskich.

Na przestrzeni tedy Lubelskiego, Podlasia, znacznej części Augustowskiego i Łomżyńskiego, nie wolno będzie stawiać oraz naprawiać katolickiego i ewangielickiego kościoła, dopóki nie udzielą swego pozwolenia „naczelnik kraju“ z „Maryą Andrejewną“ (Hurko i Hurkowa), i dopóki ich zezwolenia nie zatwierdzi swojem najwyższem *placet Leoncyusz*, arcybiskup prawosławny, „warszawski i nowogergiewski“, właściwiej zaś powiedziawszy pan *Mirosław Dobriański*, urzędnik do szczególnych poruczeń w kancelaryi jenerał gubernatora warszawskiego, którego memoryał zawierający plan dalszego prześladowania katolicyzmu i narodowości polskiej oraz dalszego męczeństwa Unitów, wydrukował niedawno *Dziennik Poznański.*

Jest on obecnie urzędowym projektodawcą rządu carskiego w zakresie podnoszenia srogości tegoż rządu przeciwko Polakom i Rusinom, wiernym ojców wierze i przywiązanym do własnej narodowości. Nie wolno mu radzić sposobów łagodnych ludzkich, ale może projektować coraz to okrutniejsze i dziksze postępowanie. Jest to więc stanowisko politycznego i religijnego kata, rola, jaką zresztą odgrywają w polskich ziemiach wszyscy moskiewscy dygnitarze i czynownicy.

Jenerał gubernator Hurko wyjechał w Towarzystwie czynownika Kowieńskiego w połowie lutego do Petersburga z raportem o stanie Królestwa polskiego. W takich raportach projektuje on zwykle nowe przeciw krajowi środki, ograniczające swobodę naszego narodu. Ponieważ w Petersburgu uważają tego tylko urzędnika za godnego zaufania i zasługującego na awans, ordery oraz na wynagrodzenie pieniężne, który radzi nowe przeciwko Polakom uciski, — z tego też powodu cała armia czynownicza nad tem tylko pracuje, ażeby ludzkości naszej uczynić życie nieznośnem. Hurko, Kochanow, Drenteln, Apuchtin, kniaź Trubecki w Mińsku, że innych carskich dostojników a raczej tyranów pominę, przodują innym na tej haniebnej drodze. Szowinistyczna moskiewska prasa przyczynia się wiele do utrzymania prześladowczej polityki gnębienia Polaków.

Wyobrazicielem wiernym tej polityki jest także Korniłów, nowy szef kancelaryi jenerał-gubernatora Hurki. W chwili, gdy to piszemy, nie objął on jeszcze swojego urzędowania. Nikt jednak co do niego nie łudzi się i nie wyczekuje po nim postępowania sprawiedliwego, sprzyjającego krajowi.

Nadzieja jakiejkolwiek odmiany systemu rządzenia na łagodniejszy i narodowi polskiemu życzliwy zupełnie upadła. Nawet stronnicy pojednania, przewodnicy polsko-moskiewskiego stronnictwa uznali rząd moskiewski za niezdolny do wejścia na drogę narodowo-polskich reform. Smutne doświadczenia zmusiły ich do przyznania, iż wtedy tylko, gdy będzie ten rząd zmuszonym, okaże chęci robienia Polakom koncessji.

KRONIKA.

„Kuryer polski w Paryżu“ w Nrze 78, z dnia 15. b. m., donosząc czytelnikom swoim o pobycie Stanisława Przyborowskiego we Lwowie i o jego odczycie, opowiedziawszy całe zajście, takie wydaje orzeczenie:

„Dzienniki lwowskie nazwały to zajście przykrem, a „Gazeta Narodowa“ *skandalem.* W naszem atoli przekonaniu, Jan Nepomucen Gniewosz postąpił rozumnie i poczciwie, i należy mu się uznanie za odwagę cywilną, z jaką wystąpił w obronie zdrowych zasad publicznej opinii.

Gdyby nawet S. Przyborowski był niewinnym, to jeszcze postępowanie p. Gniewosza byłoby usprawiedliwionem, bo w takim razie, wiedząc o co go podejrzywają, powinien był p. Przyborowski siedzieć cicho, nie narzucać się publiczności na nauczyciela i starać się czynami zmienić krzywdzące jego honor podejrzenia.

Słyszeliśmy, że i p. Spasowicz wybiera się z prelekcyami do Galicyi, aczkolwiek znanym jest jako naczelnik polsko-moskiewskiego stronnictwa.

Widocznie uwzięli się na Galicyę apostołowie pozytywizmu. Jeden bowiem za drugim z chorągwią postępu i demokracyi robi na tę prowincyę wyprawę, aby jej mieszkańcom wyperswadować polski patryotyzm i skierować ich nadzieje ku słowiańskim braciom Moskalom.

Wielu młodych zwłaszcza, łapie się na hasła postępu i demokracyi i przez przyjmowanie utylitarnych zasad pozytywizmu, usposabia się, nie wiedząc o tem, na służalców moskiewskich. Dobrze więc zrobił p. Gniewosz, że skarcił jednego z tych apostołów. Może ten wypadek powstrzyma p. Spasowicza.

Kto dokładniej chce poznać obywatelski czyn J. N. Gniewosza, niechaj przeczyta w nrze 4tym „Strażnicy polskiej“ artykuł p. t. „Kruki.““

Podajemy ten ustęp dla tego, bo mieści i zapatrywanie o p. Spasowiczu, który miał odczyt w Krakowie, a do Lwowa jedynie dla tego nie przybył, pomimo, że dzienniki lwowskie już ogłosiły dzień odczytu, i już były plakaty wydrukowane, a bilety przez jego przyjaciół politycznych cichaczem sprzedane, b o m u z a b r o n i ł a przyjazdu Redakcya „Strażnicy polskiej“ w imieniu t e g o s t r o n n i c t w a d e m o k r a t y c z n e g o p o l s k i e g o, które n i e p o s z ł o i n i e p ó j d z i e na lep tego rodzaju apostołów, jak p. Spasowicz.

Dzięki Bogu że tak się stało i p. Spasowicz raczył sobie wyperswadować apostołowanie pomiędzy „warchołami“ lwowskimi, gdyż byłoby niezawodnie przyszło do bardzo niemiłych zajść i daleko drastyczniejszych może, jak z Przyborowskim.

Mniejsza zresztą o to, że Spasowiczowskie pisklęta z wąsami i bez wąsów, „znane powszechnie znakomitości“ i minorum gentium gadające i improwizujące, są strasznie „oburzeni“ na tego niepoprawnego „rewolwerowca“, redaktora „Strażnicy polskiej“, a mianowicie zuchy, którzy gdy przybył Przyborowski, p i e r w s i gadali na ucho innym, że to szpieg itd., a pomimo to przyjmowali go u siebie nader uprzejmie, nie śmieli mu cofnąć ręki, a nawet pieniędzmi wspierali, — ta to legia odważnych rycerzy wydała znowu na redaktora „Strażnicy polskiej“ anathema i chcąc go już raz zgnieść, zdeptać i zmiażdżyć, szepce znowu na ucho, że to: — „agent provocateur!“

Oto znowu próbka tych, o których nie możemy rzeczywiście powiedzieć, że nie posiadają uczucia patryotycznego i nie są ludźmi uczciwymi, ale którzy prowadzeni na pasku szatańskiej potęgi wrogów naszych, pomimo nawet wiedzy i nauki w innym kierunku, otumanieli, zidyocieli po prostu, a dziś zatracili poprostu nawet narodowy zmysł zachowawczy.

Patryotom prawdziwym i trzeźwym przypominamy i niechaj zechcą cofnąć się pamięcią wstecz, chociażby tylko do r. 1876, gdy to po raz pierwszy zaczęto

---

czuwanie nad tem, by ajenci moskiewscy, korzystając z chwili rozgorączkowania narodu, szczególniej w miastach, intrygami wywołującemi niepotrzebne wyskoki, nie kompromitowali tak pięknego i wzniosłego ruchu narodowego.

Był wtedy w Piotrkowie niejaki Cywiński, były oficer moskiewski. Ubrany w czamarkę i konfederatkę, głośno i śmiało, nawet za głośno i za śmiało, niżby względy zdrowego rozsądku nakazywały, odzywał się z tem, iż lepiej od razu rozpocząć z Moskalami walkę na dobre, niż się modlić po kościołach i dawać im czas do nagromadzenia wojska. Straż obywatelska w Piotrkowie aresztowała go i oddała w ręce władzom moskiewskim. Nie wiem prawdziwie, jak o tem zdarzeniu myśleć. Czy Cywiński był winnym prawdziwie, czy też zgrzeszył brakiem rozumu; mimowolnie mi jednak na myśl przychodzi znana bajka o owym sądzie, skutkiem którego szczupaka skazano... na wrzucenie do wody. Jeżeli Cywiński był winnym, to można było w inny sposób z nim się ułatwić, choćby uspokoić nawet, według wyrażenia Kilińskiego, zamiast oddaniem go pod sąd Moskali, dawać im w ręce broń duchową przeciw sobie. Zresztą Cywiński później został na dobre szpiegiem moskiewskim i to jednym z zajadlejszych.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi.)

głosić o tej nowej gwieździe na naszym firmamencie, w postaci petersburskiego adwokata p. Spasowicza, czy to nie od tej epoki wszedł na porządek dzienny ten pozytywizm wstrętny, który jakby blekotem opanował nie tylko część pełnoletniej już inteligencyi, ale szczepiony był rozmyślnie w młodsze pokolenie, pomiedzy młodzieżą akademicką, a nawet w szkołach średnich, nie pomijając nawet kobiety.

Moglibyśmy cały szereg tych Spasowiczowskich adeptów wymienić, którzy wdarłszy się przemocą w społeczeństwo, drwiąc i kpiąc z wszelkich ideałów wielkiej przeszłości naszej, wydzierali wiarę w Boga i we wszystko, co w duszy polskiej święte i nietykalne być powinno. Zajęli oni tak szerokie pole i tak opanowali nieoględne umysły, że chociaż nie jednemu apostolstwo to było wstrętne, nie miał odwagi zaprotestować głośno, aby nie był wyśmiany, wyszydzony, sponiewierany. Kto nie chciał przed nimi bić czołem, tego nazywano waryatem, nieukiem, osłem, idyotą. To też wystarczyło dziesięć lat, aby po tym zasiewie wyrósł plon, który dla społeczeństwa i narodu polskiego **jest hańbą.**

Apostoł tego pozytywizmu p. Spasowicz, adwokat petersburski, uznał nareszcie teraz dopiero za chwilę odpowiednią, aby we własnej osobie przybyć jako wielki kapłan do Krakowa i Lwowa, pokazać się narodowi, dla położenia kamienia węgielnego do budowy złotego mostu: via Kraków-Lwów-Moskwa-Petersburg.

Stało się jednak inaczej, bo gdy się nie da zaprzeczyć, że „warchoły lwowskie“ mają zęby niestępione, to nie zawsze jest bezpiecznem wystawiać ich cierpliwość na ostateczną próbę. W takim wypadku staćby się mogli „bardzo niegrzeczni.“

Przekonani też jesteśmy, że polityczni przyjaciele p. Spasowicza, pomimo poparcia ich przez p. L. Masłowskiego, redaktora „Przeglądu“ lwowskiego, niezechcą powtórnie próbować szczęścia i zapraszać go do Lwowa.

Inne dzienniki lwowskie miały na ten raz przynajmniej na tyle taktu, że milczą i nie rzucają błotem na Redakcyę „Strażnicy polskiej.“

J. N. z O. G.

Apocalypsis. Jam jest Alfą i Omegą tu we Lwowie, a zaś Alfą i Omegą w Krakowie jest kto inny. A pomiędzy Alfą i Omegą jest wiele paskudnych rzeczy, które nie pozwalają nam jasno mówić, dlatego mówimy w przypowieściach. A jeżeli narodzie nie usłuchasz Alfy i Omegi, biada będzie tobie. Albowiem Krasiński powiedział: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“ — a wszelako jeżeli poskąpił Pan nam (*Dziennikowi Polskiemu*) rozumu — to wina w tem nieszczęścia, które może być groźne, jeżeli będzie groźne. Tyle jest słów i więcej, aczkolwiek bez myśli we wstępnym artykule *Dziennika Polskiego* z dnia 26. marca 1887 r. w numerze 85.

Notujemy ten nie pierwszy objaw halucynacyi, jako rzecz wartą śmiechu i politowania. Widać że Pan dając wszystko, nie wszystkim przecie daje w równej mierze, i niekiedy odmawia tej odrobiny, co się nazywa zdrowym rozsądkiem.

Księgarz lwowski. Jest we Lwowie instytucya finansowa, która nie tylko w naszej stolicy, ale w całym kraju, długoletnią wytrwałą pracą, a przejętą na wskróś poczuciem obowiązków obywatelskich, zasłużyła sobie na powszechne uznanie. Instytucya ta jest pierwowzorem, jak to powinna wyglądać każda instytucya, która wywiesza sztandar organicznej pracy. Nie dziw więc, że Lwowska Kasa Oszczędności, która bez zmazy i bez skazy stoi, była już niejednokrotnie celem zamachów legionów lichwiarzy, aby jej fundamenta bytu podkopać. Wszystkie te usiłowania odbijały się zawsze jak o Tarpejską skałę.

Jest to jedyna instytucya finansowa, która zyski obraca jedynie na cele szlachetne. W roku bieżącym złożyła krajowi prawdziwie królewski dar, bo 400,000 złr. na muzeum przemysłowe. Oprócz tego, jak zwykle corocznie, przeznaczyła 7,000 złr. na wsparcie różnych Towarzystw i celów. W spisie tym nie zapomniała Dyrekcya Kasy Oszczędności i o Towarzystwie „Gwiazda“, które zna jako wielce pożyteczne w naszych stosunkach społecznych. Walne Zgromadzenie i Rada zawiadowcza przyjęły wszystkie pozycye w myśl przedstawienia Dyrekcyi, z wyjątkiem jednego Towarzystwa, a tem jest — „Gwiazda“ lwowska.

Nie poruszalibyśmy tego faktu, gdyby tylko szło o stronę materyalną; ale odrzucenie przedstawienia Dyrekcyi sprawiło niezwykłą sensacyę, gdyż takie odrzucenie może tylko naruszyć stronę moralną „Gwiazdy“, a liczni członkowie nie mogą pozwolić, aby byle kto rzucał się na cześć ich.

Otóż na Walnem Zgromadzeniu Kasy Oszczędności wystąpił członek Rady zawiadowczej p. Władysław Gubrynowicz, znany aż nadto dobrze księgarz lwowski, szczególniej z procesów karnych — konkurencyjnych księgarskich. Pan ten, oparł się udzieleniu zapomogi „Gwieździe.“

Przeciw tej opozycyi zabrał znowu głos p. Bolesław Augustynowicz, wiceprezes Towarz. gospodarskiego w Galicyi, a znany powszechnie jako jeden z najzacniejszych, najszlachetniejszych, najwytrwalszych pracowników dla dobra kraju, obywatel, stojący po za wszystkiemi stronnictwami, słowem, daj nam Boże takich obywateli więcej. Lecz dziwna rzecz — nad tym gorącym rzecznikiem „Gwiazdy“ odniósł zwycięztwo pan Władysław Gubrynowicz, gdyż większość kilkugłosowa postanowiła nie przyjąć przedłożenia Dyrekcyi, a iść za wskazówką tego swego kolegi...

Otóż zmuszeni jesteśmy choć pobieżnie objaśnić cele i czynności „Gwiazdy“. Towarzystwo to ma głównie na celu *umoralnienie i wykształcenie naukowe* młodzieży rękodzielniczej i w tym kierunku oddało juz wielkie, nieocenione usługi krajowi, mianowicie pod przewodnictwem takich obywateli, jak Mieczysław Darowski, a obecnie Franciszek Głodziński.

Towarzystwo to stało początkowo ofiarnością patryotycznych obywateli; obecnie wystarcza samo potrzebom utrzymania „Gwiazdy“. Ale oprócz umoralnienia i kształcenia członków, ma jeszcze drugi dział niezmiernie ważny, szlachetny, a tym jest — przyjęcie opieki nad członkami, niezdolnymi do dalszej pracy, wdowami po członkach i sierotami. Obowiązek ten spełnia „Gwiazda“ z szczególną ofiarnością i szlachetnością. Otóż jeżeli otrzyma zkąd zasiłek, nie używa go na cele Towarzystwa zwykłe, ale zamieszcza ten grosz w kasie dla wsparcia wdów i sierot swoich.

Zaiste, trzeba mieć niezwykły zapas tego rodzaju odwagi cywilnej, aby rzucić ujemny cień na takie Towarzystwo, jak „Gwiazda“ lwowska. Mówiąc jednak otwarcie, nie dziwi nas to bynajmniej, bo przecież wiadomem już jest, jakim to wyłącznym sprytem i jakiemi drogami p. Gubrynowicz pnie się po drabinie „patryotyzmu,“ „poświęcenia,“ „ofiarności obywatelskiej“, a dla jedynego tylko celu — zdobycia brzęczącej fortuny, i to mu się świetnie udaje.

Nasi literaci, a szczególniej poeci i powieściopisarze, którzy przy nader pustych żołądkach opuszczali ten padoł płaczu, lub żyjący o głodzie i chłodzie, mogliby ciekawą kronikę spisać, jak to pewni księgarze patryoci — w jaki sposób nabijają wertheimówki, koronując się potem różnymi splendorami. Prawda, że dziś nie cnota obywatelska, nie nauka, geniusz zdobywa laury, jeżeli nie są poparte dobrze wyładowaną kieszenią — ale brzęcząca moneta, chociażby jedynie wydobyta z cuchnącego błota i nędzy ludzkiej. O to nikt niedba; nad takiemi rzeczami przychodzi się do porządku dziennego, bo ten pan waży tyle a tyle, a to dla pojęć i wymogów w obecnem społeczeństwie wystarcza.

Czy tak zawsze praktykować się będzie, o tem śmiemy wątpić; mogą się czasy zmienić, a dzban tak długo wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Byłoby jednak wielce do życzenia, aby „Kasa Oszczędności“ zastąpiła odpowiedniejszym obywatelem p. Władysława Gubrynowicza, księgarza lwowskiego. Tym zaś kilku panom, którzy poszli za głosem jego nie za Dyrekcyą i p. Bolesławem Augustynowiczem, winszujemy, lecz nie zazdrościmy takiej łączności.

J. N. z O. G.

„Zegar monarchów“ O tem dziełku które niedawno pojawiło się w druku, pisze p. Agaton Giller: Im więcej się wczytuję w tę pracę, tem bardziej ona mię zajmuje. Jest w niej prawdziwy skarb zdrowych myśli, rad zbawiennych i spostrzeżeń doświadczeniem stwierdzonych — każdy więc poważniej myślący czytelnik powinien być Ci wdzięcznym ks. dobrodzieju (list pisany jest do wydawcy ks. Polickiego) za podaną mu przez ciebie sposobność zaznajomienia się z filozofią moralną uczonego spowiednika Karola V. Gdyby krytycy, którzy czasem podobne dzieła lekceważą, przeczytali cierpliwie przedrukowaną Twojem staraniem i kosztem książkę, przekonaliby się, że ci często lekceważeni przez nich pisarze i filozofowie byli głębokimi myślicielami, a dzieła ich są i dla obecnie żyjącego pokolenia wielce pouczającemi.

Korespondencya od Redakcyi.

W sprawie wystawy krajowej w Krakowie. Na zapytanie listowne, dlaczego *Strażnica* nie zabiera głosu w sprawie Wystawy, odpowiadamy:

Wystawy krajowe i prowincyonalne zajmowały nas zawsze daleko więcej, jak każde inne pismo. Tak samo byliśmy gotowi zająć się szczerze Wystawą krakowską, po którejśmy się dla dobra kraju wiele spodziewali. — Wobec jednak ciemnych chmur, jakie się nietylko na europejskim, ale na naszym widnokręgu znajdują, i jak się możebne wypadki przedstawiają, zdaniem naszem nie można liczyć na powodzenie Wystawy, która się bez znacznych kosztów obejść nie może. — A gdyby nawet pokój w tej chwili był już zapewniony, to straciło się tak wiele czasu, że na przygotowania odpowiednie w kraju, w żaden sposób liczyć nie można, zaś gra „na chybił trafił“ — niepewne spekulowanie na pokój, to rzecz giełdzistów, a nie naszego przemysłu, handlu, a mianowicie rękodzielnictwa. Wystawa krajowa w Krakowie, byłaby wysoce pożądaną dla naszego rękodzielnictwa, jeżeliby była jakakolwiek pewność, że wysilenia, jakie rękodzielnictwo i przemysł poniosą, dozwolą im chociaż wężełki tego rachunku powiązać, ale to już wręcz niemożebne. — Zabawienie się zaś w Wystawę krajową, jedynie dla tego, aby miejscowe interesa hoteli i restauracyj krakowskich poprzeć kosztem nędzy rękodzielnictwa i przemysłu krajowego, to rzecz zupełnie niewłaściwa.

Ten cel osiągnęliby pp. krakowianie nawet wtenczas, gdyby tylko sami wystawcy przybyli i przesiedzieli miesiąc w Krakowie. — Później jednak byłoby nieuniknione następstwo rozmaitych bankructw i nędzy rękodzielniczej. Nie dosyć albowiem przygotować przedmioty na Wystawę krajową, ale wystawienie odpowiednie, dopilnowanie, staranie się za zbytem, koszta utrzymania i koszta powrotu, sprowadzenia do domu przedmiotów wystawowych, oto wydatki, które wymagają znacznej gotówki w kraju, dla którego przemysłowców i rękodzielników „medale zasługi“ i „dyplomy honorowe“ — są pożądane — ale niewystarczające. — Widzieliśmy po Wystawie lwowskiej, stanisławowskiej, przemyskiej i innych, że ci co otrzymali medale i dyplomy, a nieosiągnąwszy właściwego celu, narażeni zostali na dotkliwe straty. — Czyż więc w roku powszechnej nędzy materyalnej, niepewności co nam jutro przyniesie, wolno narażać i prowokować kraj, na więcej jak lekkomyślny krok? — Zdaniem naszem być to nie powinno, ale jest nawet ze strony ludzi forsujących głównie tę Wystawę — czynem niemoralnym.

Nie będziemy więc popierać Wystawy krakowskiej w r. 1887, bo nie chcemy brać na sumienie ciężkiego grzechu wobec nędzy rękodzielniczej i przemysłowej. A dziennikarstwo lwowskie i prowincyonalne powinno się również zastanowić, że go nie wiąże żadna solidarność z krakowską prasą.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Od Administracyi.

Dla uregulowania nakładu, upraszamy z rozpoczynającym się nowym kwartałem, o jak najspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty, która wynosi:

we Lwowie bez przesyłki,	zł. 1.50
„ z przesyłką do domu . .	„ 1·70
na prowincyi	„ 1·75
za granicą	„ 2·00
Pojedyńczy Nr. kosztuje	„ —·15
Podwójny „ „	„ —·30
Rocznie na prowincyi	„ 7·00
„ za granicą	„ 8·00

Prenumeratę miejscową i zamiejscową prosimy przysyłać wyłącznie na ręce p. *Szczęsnego Bednarskiego*, Zarządcy drukarni p. A. Wajdowicz, we Lwowie, Rynek L. 9.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.

Dodatek do Numeru 7. „Strażnicy polskiej".

†

S. p. Wacław Dąbrowski

prezydent miasta Lwowa

zmarł dnia 30. marca o godzinie 8¾ wieczór.

Tem czem był, zawdzięczał własnej, twardej, długoletniej pracy. Jak cały żywot jego był wzorem skromności, tak też w nim wytrwał do skonu. W pracy i wobec przyjętych na siebie obowiązków, był żelaznej, nieugiętej woli. A jeżeli błądził, to zbytnią skromnością lub pobłażliwością.

Z Izby sądowej

(Wyeliminowany ze społeczeństwa).

Dnia 24. Marca r. b. odbyła się we Lwowie przed Trybunałem i ławą przysięgłych rozprawa karna, którą wytoczył p. Ludwik Żychliński panu Ludwikowi Zielonce, literatowi, o obrazę czci i honoru.

Zaczem przystąpimy do szczegółowego sprawozdania, winniśmy zaznaczyć, że proces ten jest jednym z najsmutniejszych, najwstrętniejszych, jakie kiedykolwiek nie tylko w Galicyi, ale we wszystkich ziemiach polskich miały miejsce.

Nie rzucił tu nikt oszczerstwa lekkomyślnego, lub pochodzącego z jakichkolwiek nieszlachetnych pobudek — nawet na człowieka, który się przedtem, dawniej dopuszczał ohydnych zbrodni, ale który będzie prawdziwie ciekawą zagadką dla psychiatrów gdy ani na chwilę, aż do ostatnich czasów nie przestaje działać na zgubę społeczeństwa, uosobiając w sobie prawdziwie szatański zmysł do wszechnazwy demoralizacyi.

Odsłonięcie charakteru Ludwika Żychlińskiego nie wynikło z chęci wywlekania wstrętnych brudów prywatnych na widok publiczny, ale orzeczonem zostało przez liczne grono patryotów i osób, zajmujących poważne stanowiska i nieskazitelnej prawości. A uczynili to dla tego, bo mieli dowody w ręku, że Ludwik Żychliński jest niepoprawny, i wszystkich zmysłów używa do tego, aby wywołać nowe nieszczęścia z najsmutniejszymi następstwami.

Co jest pożałowania godnem, oto to, że osoby stojące blisko Żychlińskiego, mogące wywrzeć pewien wpływ na niego i zmusić go po prostu do usunięcia się z naszej widowni, nietylko tego nie uczyniły pomimo dawanych im wskazówek i objaśnień, ale dodawały otuchy L. Żychlińskiemu, podniecając go moralnie i zasilając materyalnie.

Pojmujemy najzupełniej, o ile dotkniętym zostanie zacny, patryotyczny ród, ale któż temu winien? Czy nie należało słuchać sumiennych objaśnień, jaki będzie wynik procesu, aniżeli wierzyć na ślepo Ludwikowi Żychlińskiemu.

Trybunał składają pp. radcy Hołyński (przewodniczący), Majewski i Kriegseisen (wotanci) i p. Zdański, auskultant jako protokolant.

Ludwik Żychliński staje osobiście jako prywatny oskarżyciel, a zastępcą jego prawnym jest dr. Dzierdzielewicz, p. Ludwika Zielonkę broni dr. Lisiewicz.

Oskarżenie opiera się na wyjątku z pamiętników o Syberyi p. L. Zielonki pod tytułem „Posielenie" w ilustrowanem czasopiśmie *Ognisko domowe*, wychodzącem we Lwowie.

Ustęp ten tak opiewa:

„W Irkucku mieszkał zesłany również za walkę z Moskwą, p. Mikołaj Epstein, u którego chętnie zbierali się koledzy. Podczas pogawędki otwarły się drzwi i wszedł do mieszkania p. Ludwik Żychliński, który wiele sadła przez zachowanie się swoje wszystkim zesłanym za skórę zalał, przez donosy i szpiegowania. Oburzony tą czelnością gospodarz, który sam mocno przez te donosy ucierpiał, wyrzucił L. Żychlińskiego za drzwi."

P. Zielonka zapytany przez Przewodniczącego Trybunału, co ma do odpowiedzenia na to oskarżenie, mówi, że nie byłby nigdy tej smutnej sprawy wywlekał na widok publiczny, ani też nie wymieniał nazwiska L. Żychlińskiego, gdyby nie spowodowali i nie zmusili go do tego nietylko znani z zacności koledzy z powstania 1863 r. i z Syberyi, — do jakich nieszczęść tam usiłował doprowadzać, ale z powodu daleko ważniejszego, a mianowicie, że jako niepoprawny, fałszywy denuncyant, człowiek na wskróś zdemoralizowany, usiłuje wywołać nowe nieszczęścia, wciskając się w koła młodzieży — rękodzielników, których namawia do rzeczy wstrętnych każdemu Polakowi i zaszczepia najniebezpieczniejsze idee.

Dalej podaje oskarżony, że i redaktor *Strażnicy polskiej*, p. Gniewosz wywarł na niego pressyę, aby Żychlińskiego odsłonił. Zapytany przez Przewodniczącego, jakiego to rodzaju była ta pressya, odpowiada że nie inna jak tylko moralna, gdyż i *Strażnica polska*, której niecne czyny Żychlińskiego są znane nie tylko w Syberyi, ale i w Galicyi, postanowiła tak samo oddać Żychlińskiego pod pręgierz opinii publicznej. Jakkolwiek więc takie wystąpienie było oskarżonemu niemiłe i wstrętne, musiał spełnić ten smutny obywatelski obowiązek.

Podaje on następnie cały szereg faktów o niecnych czynach L. Żychlińskiego na Syberyi, że był najzacieklejszym szpiegiem i denuncyantem, znienawidzonym zarówno od Polaków jakoteż od Moskali. Denuncyował rodaków, urzędników rossyjskich, kupców rossyjskich, którzy ułatwiali wygnańcom korespondencye z krajem. Ukrócał tym sposobem resztki wolności na Syberyi, narażał na rewizye, uwięzienia, a kilku towarzyszy zginęło z cierpień i okropnych warunków bytu. Sam gubernator jenerał Dytmar mówił o Żychlińskim ze wstrętem.

Było to dla wszystkich niepojętem, tem bardziej, że Żychliński bądź co bądź miał być w powstaniu dzielnym żołnierzem i złożył dowody męstwa. Dla pieniędzy nie denuncyował, — posądzano go o maniactwo, lecz zdrowy umysł Żychlińskiego na tego rodzaju posądzenie nie pozwalał. W końcu wyrzekł p. Zielonka:

„Jeżeli z tych kilku tysięcy wygnańców, którzy znali na Syberyi Ludwika Żychlińskiego, znajdzie się choć jeden, który powie, że nie był szpiegiem, denuncyantem, lecz uczciwym człowiekiem, wtenczas gotów jestem cofnąć to, co o nim napisałem.

Gdy L. Żychliński dowiedział się, że p. L. Zielonka powołał jako świadków na swą niewinność byłych Sybiraków, pp. Mikołaja Epsteina, literata, i dra Benedykta Dybowskiego, obecnie profesora uniwersytetu we Lwowie, nie podał ze swej strony żadnych innych świadków.

Posłuchajmy, co ci świadkowie, powołani przez L. Żychlińskiego, zeznają:

Swiadek p. Mikołaj Epstein, rodem z Warszawy, liczy lat 55, zaprzysiężony, zapytany przez p. Przewodniczącego, co wie o L. Żychlińskim, oświadcza, jak trudnem, jak bolesnem jest mu to wystąpienie w roli świadka w tej smutnej nader sprawie, która takim sromem okrywa imię Polaka, który w walce o niepodległość w 1863 r. zjednał sobie jako dowódca „Dzieci warszawskich" imię dzielnego żołnierza. To też gdyby po powrocie z Syberyi nie wszedł był na nowo na tę okropną drogę i nie kalał na nowo imienia żołnierza polskiego, nie byliby koledzy jego, którzy powrócili do kraju, zmusząli p. Zielonkę do mówienia o Żychlińskim w pamiętniku, a przeszłość smutną uważali jako chwilę obłędu umysłowego. Gdy jednak Żychliński tak samo jak w Syberyii tu usiłował wywołać nowe nieszczęścia, należało ostrzedz społeczeństwo nasze, o ile ten człowiek jest niebezpieczny i niepoprawny.

Przemówienie to wywarło silne wrażenie na wszystkich bez wyjątku obecnych. W sali rozpraw zapanowała cisza, gdy świadek mówił, a który zaznaczył i zdziwienie swoje, że go L. Żychliński powołał jako świadka — na swą niewinność.

Po tym wstępie mówi p. Epstein dalej:

„Zanim poznałem osobiście p. L. Żychlińskiego na Syberyi, poprzedziły go już wieści, wskazujące na czyny straszne, jakich się miał dopuścić w cytadeli warszawskiej, wydając w ręce Moskwy współbraci i towarzyszy bojów i organizacyi. Zdumieni byli wszyscy, że jako dowódca „Dzieci warszawskich" nie został jak inni rozstrzelany lub powieszony, ale zesłany na Sybir. Wprawdzie był jeszcze drugi dowódca, którego nie ukarano śmiercią, lecz wysłano na Sybir, lecz ten przybywszy pomiędzy kolegów, padł na kolana i przyznał się, że upadł na duchu, osłabł — i powydawał kolegów, za co uratował życie, przyznał się ze skruchą do popełnionych grzechów — i koledzy mu darowali, gdyż ciężko sądził sam siebie i pokutował. Wielu zesłańców opowiadało, że są ofiarami pułkownika Żychlińskiego. Ja i grono moich najbliższych kolegów, nie potępiliśmy stanowczo Żychlińskiego, kładąc jego grzechy na karb chwilowej słabości, upadku ducha jak wielu innych, to też gdy przybył do Kajdałowy, gdzie byłem zesłany, przyjęliśmy go jak brata zbłąkanego, ale serdecznie, otwierając mu serca i usiłując podnieść go na duchu. Za tę miłość bratnią, za serce, za koleżeństwo, odwdzięczył on się jednak strasznie ohydnie. To też gdy dziś przychodzi mi o tem wspominać, powtarzać co czynił, wierzajcie panowie, że są to wspomnienia gorzkie, które mię przejmują bolem. Byłbym się starał wszelkim sposobem uniknąć tych zeznań, gdyby nie ten smutny obowiązek, aby przeciąć to pasmo występków i zbrodni, jakich się Żychliński na nowo dopuszcza, a tak samo jak na Syberyi, usiłuje teraz rodzić nieszczęścia. Ileż razy na Syberyi zastanawialiśmy się nad tem, jaka siła pcha tego człowieka na tę straszną drogę i czy to nie jest wynikiem obłędu umysłu, gdyż ten jest największej do prawdy podobien. Czyny jego jednak świadczą o przytomności umysłowej. Ale posłuchajcie panowie i sądźcie sami. Oto gdyśmy mu w Kajdałowej dawali tyle dowodów bratniej miłości, nie chcąc wierzyć w to co o nim mówiono, zwalając te wieści na karb roznamiętnienia i rozgoryczenia świeżego, on, Ludwik Żychliński, denuncyował mnie i Witolda Marczewskiego, jednego z najzacniejszych ludzi, denuncyował i innych kolegów o czyny, które nam ani innym nawet przez myśl nie przeszły.

Pogłoski o denuncyacyach Żychlińskiego szły crescendo, tak, że nie było już ani jednego między zesłanymi, któryby o tem nie wiedział. Pomimo to, ja, Marczewski i kilku innych kolegów, jeszcześmy tym pogłoskom nie chcieli dać zupełnej wiary i stawali w jego obronie. Stał się nareszcie fakt, który tu opowiem: Żychliński zamieszkawszy o kilkanaście wiorst od nas, przysłał pewnego razu do mnie chłopa z listem, w kopercie szarej, zapieczętowanej, ale bez adresu. Jakież zdziwienie opanowało mną, gdy w liście wyczytałem: „Strzeżcie się Epsteina i Marczewskiego, jako ludzi bardzo niebezpiecznych". Chłop spostrzegłszy moje zdziwienie, wyrwał mi list z ręki, a dał inny, w takiej samej kopercie, bez adresu. Następnie objaśnił, że dostał od Żychlińskiego dwa listy, że się pomylił, bo ten, co był z załamanym rożkiem koperty, miał oddać Lietkemu, urzędnikowi rossyjskiemu do szczególnych poruczeń przy gubernatorze; poczem chłop się szybko oddalił. Tu już był dowód niezbity, czem był Żychliński. Denuncyował on następnie mnie i Marczewskiego, że przygotowujemy broń, aby zrobić na Syberyi powstanie. Rzeczywiście kupił poprzednio Marczewski strzelbę w celu polowania, a i ja takową posiadałem. Zrobiono u nas rewizyę i uwięziono, a dla pozoru uwięziono i Żychlińskiego. Człowiek ten w szale donosów swych niebezpiecznych zapominał się nawet tak dalece, iż n. p. gdyśmy zostali uwięzieni, ja, litując się jeszcze nad tym szaleńcem, a nareszcie w celu ułagodzenia go, gdy mi przysłano do aresztu ptactwa pieczonego, i innego pieczywa, posłem Żychlińskiemu część, pisząc do niego liścik. Żychliński po wypuszczeniu opowiada kolegom, że mu gubernatorowa te specyały przysłała, a on się z Epsteinem niemi podzielił, że otrzymał list od wysoko położonej osoby i że on wyrobił nasze uwolnienie. Opowiadając to, pokazywał z daleka list, nie inny, ale ten, który ja do niego pisałem. Gdy nadszedłszy na to, wyrzucałem mu jego kłamstwo w oczy, list schował do kieszeni i powiedział, że go łapią za słowa.

Żychliński otrzymał na całej Syberyi imię „króla kłamców", a weszło w przysłowie: „łże jak Żychliński". Opowiadał on mnie i innym o przeszłości swej niebywałe rzeczy, i. tak: że jest krewnym króla pruskiego i że królowa pruska trzymała go do chrztu, że jest skoligacony przez Radziwiłłów z dworem pruskim, i z tego powodu ma wielkie stosunki, że w Ameryce otrzymał krzyż komandorski i drugi wysoki order, że ma stosunki w Petersburgu i jest protegowanym przez wysoko położone osobistości, z któremi koresponduje. Ale właśnie te kłamstwa wprowadzały nas na domysł, że Żychliński cierpi na obłęd umysłu. Tymczasem to, czego się dopuszczał na miejscu, dowodziło znowu, do jakich zbrodni i nikczemności człowiek ten się posuwa, a przyznać mu trzeba było, że to czyni ze sprytem szatańskim. O losie jego zdecydował następujący fakt:

Żychliński miał przy sobie niejakiego Barasza, który w powstaniu służył w jego oddziale. Znalazłszy swego pułkownika na Syberyi, przebaczył mu strasznie ostre i bezwzględne postępowanie z powstańcami, twierdząc, że tak musiał czynić dla karności i ztąd narobił sobie tak wielu nieprzyjaciół. Przywiązał się do pułkownika jak to mówią jak pies wierny i służył mu z zupełnem poddaniem. Otóż pewnego razu przybywa Barasz do mnie, zmieniony, zgnębiony moralnie, bo to człowiek chociaż nie bardzo wykształcony, ale nadzwyczaj zacnego i prawego charakteru, i oświadcza, że zmuszony był zerwać z p. pułkownikiem Żychlińskim,

opuścić go, bo przecież nie może się stać wspólnikiem jego strasznych zbrodni.

Zapytany, co go do tego powoduje, opowiedział mnie i innym kolegom, że Żychliński kazał mu składać przysięgę na tajemnicę, gdyż ma mu powierzyć nader wielkiej wagi sprawę, a następnie żądał od Barasza, aby szpiegował swoich kolegów zesłańców, gdyż mu to łatwiej udać się może aniżeli Żychlińskiemu i aby to, o czem się dowie, donosił wskazanym przez Żychlińskiego urzędnikom rossyjskim. Wtenczas dopiero Barasz przekonał się, czem jest jego ubóstwiany pułkownik, i natychmiast się od niego usunął. Wskutek donosów Żychlińskiego ograniczoną została wolność i wszelkie działanie współwygnańców. W koloniach Sybirskich powstała formalna panika, ciągłe rewizye, uwięzienia i inne smutne następstwa z tego powodu. Nareszcie władze rossyjskie znienawidziły tego szpiega i denuncyanta, gdyż jak sami twierdzili i o tem mówili głośno, konie zajeżdżali i sami upadali od znużenia, bo nieustannie przychodziły od wyższych władz rozkazy do śledztw wskutek donosów Żychlińskiego, a nie nazywali go Moskali inaczej, jak tylko: „ten wasz kuzyn króla pruskiego“. Żychliński został nareszcie na prośbę wszystkich zesłańców wysłany w inne strony.

P. Mikołaj Epstein zeznał jeszcze mnóstwo innych faktów, lecz gdy były analogiczne z zeznaniami następnego świadka, nie będziemy ich tu powtarzać.

Dr. Benedykt Dybowski, profesor uniwersytetu lwowskiego, były Sybirak, i znany w świecie naukowym z swych podróży po Syberyi, zeznaje:

P. Żychliński, co muszę najpierw z naciskiem zaznaczyć, zażywał między swymi rodakami na Syberyi najgorszej sławy i opinii. Zdaje się, iż aureola, która otaczała byłego dowódcę „Dzieci warszawskich“, stała się może najciemniejszą gwiazdą w życiu tego człowieka. Opinia ta była nietylko pomiędzy własnymi współbraćmi, ale i między Moskalami, tamże wśród nas żyjącymi. W warszawskiej cytadeli siedziałem wtenczas, gdy i Żychliński był uwięziony, a tam poprzedziła go już fama wtenczas rozgłośna, że nikt inny jak tylko on wydał całą organizacyę, i że głównie za cenę tej denuncyacyi był uwolniony od kary śmierci, na którą to karę, każdy w naszych przywódców siły zbrojnej narodowej był skazany i wyrok wykonano.

Będę tylko mówił o pobycie Żychlińskiego w Irkucku, gdyż o tem tylko jestem dobrze poinformowany. — Tam rozpoczął on bardzo niebezpieczne działania, przez podburzanie i namawianie ciemnych mas do powstania. Chciał on tem wywołać rzeź przeciw inteligentnym sferom rodaków i Rossyan — podpalić Irkuck, zrabować — a potem udać się za granicę Chin. — Lecz już wtedy rozpowszechniły się pogłoski na całej Syberyi, że chcąc wywołać to powstanie, miał zupełnie co innego na myśli, a mianowicie, gdy już będzie cała organizacya przeprowadzoną — gotową — wydać ją Moskalom. — Widząc to nasi Starostowie (były to osobistości wybierane przez wszystkich zesłanych, którzy ich reprezentowali wobec władz moskiewskich, a wybierano na starostów ludzi najzacniejszych, nieposzlakowanych w niczem. Red.), którzy zawiadywali partyami, poszli do władz rosyjskich, aby Żychlińskiego usunięto z Irkucka, w przciwnym razie nie ręczą za spokój. — Że zaś i władze rossyjskie znienawidziły go, wysłano go do Siewakowej.

Nie było wtenczas również wykluczonom nader silne podejrzenie — że Żychliński umaczał głęboko rękę w smutnej sprawie „Zabajkalskiej“, w skutek czego tyle ofiar nieszczęśliwych przypłaciło śmiercią i katorgami.

Lecz i tam nie lepiej się spisał, albowiem rozpoczął na wielką skalę niecne intrygi przeciw Staroście naszemu, Zdzisławowi Mitkiewiczowi, człowiekowi zażywającemu słusznie rzadkiej czci. Żychliński zarzucił mu, że jest szpiegiem, złodziejem, i że okradał partyę. — O ile z tego zrozumieć mogliśmy, nie szło mu tyle o Mitkiewicza, ile o denuncyonowanie tych wszystkich, którzy tam wraz z Mitkiewiczem smutne koleje losu dzielili. — Że tak a nie inaczej było, dowodziły jego ciągłe bawienia w Siewakowej, aby wszystkich kupiących się przy jednem ognisku, grzejących się tem samem ciepłem, żyjących tą samą myślą, poróżnić między sobą, zasiać ziarno niezgody.

I jakiż z tego wynik? — Oto ci sami proszą znowu, aby ich brata usunąć, wskutek czego Żychliński wysłany został do „Czyty“.

W sprawie tej odbył się poprzednio sąd przeciw Mitkiewiczowi, a ja także miałem zaszczyt być członkiem tego sądu, którego wyrokiem Mitkiewicz uznany został niewinnym, a Żychliński miał być usunięty z tych okolic, jako człowiek bardzo niebezpieczny, bo spokój w Siewakowej był ciągle przez tegoż pana zagrożony. A jak się nawet władze rossyjskie zapatrywały, dosyć powiedzieć, że gdy wyrok na Żychlińskiego wydano wieczorem, rychłym rankiem już został wywieziony do Czyty. — Tam był również p. Mikołaj Epstein. Lecz z Żychlińskim wyjechała też ta fama, która współrodaków od niego odstręczała. — Byli też tam i ci, którzy w żaden sposób nie chcieli uwierzyć, by były dowódca „dzieci warszawskich“, był zdolnym do takich czynów, o jakie go ogólnie posądzano. Niech mi wolno będzie się wyrazić o tej rzadkiej jego niewdzięczności, jakiej się dopuścił wobec pp. Epsteina i Marczewskiego, jako ludzi, którzy początkowo byli jego napierwszymi obrońcami.

Ten sam p. Żychliński robi donos na Epsteina i Marczewskiego, jako na ludzi niebezpiecznych i spokojowi publicznemu zagrażających, wskazuje na broń w ich domu się znajdującą, — wskutek tych donosów, zostają Epstein i Marczewski uwięzieni.

Żychliński przeniesiony do Kajdałowej, nie przestaje i tam dalszych donosów praktykować.

Prowadził się bardzo niemoralnie — i tak: mieszkał z jakąś kobietą, a do tego stopnia zgorszenie szerzył, iż obcy mówili głośno: „że pułkownik polski, nie powinien szerzyć takiego zgorszenia“. — Mówił mi to niejaki Bongent, rodem Szwajcar, zesłany przed rokiem 63. za naszą sprawę. — Był on wtenczas w służbie rossyjskiej i opowiadał mi osobiście, że Żychliński nieustannie czynił na niego i na innych donosy.

Przejeżdżał tamtędy Andrioli, Francuz; zapoznał się z nim Żychliński, a w końcu i w swych donosach nie pominął. — Andrioli, nazwał Żychlińskiego niebezpiecznym człowiekiem. Sprawki jego tak ciągle maltretowały władze moskiewskie, iż go wysłano ostatecznie do Aleksandrowska, miejscowości zamieszkałej jedynie przez deportowanych Moskali. — Wysłano go tam w tem przypuszczeniu, że uda się położyć koniec jego donosom, a przynajmniej takowe utrudnić. Pomylono się jednak, bo denuncyacye wśród Moskali, z którymi żył, posypały się znowu, a nawet na Polaków oddalonych, wśród których nie był.

Tam się złączył z kobietą, żoną rekruta zbiegłego i prosił władzy, ażeby mu pozwolono żenić się z nią. Dytmar gubernator, który tę prośbę otrzymał, powiadomił Żychlińskiego, iż w prawosławnej cerkwi nie wolno się żenić z mężatką. Wtenczas prosił Żychliński, aby podanie jego odesłano do Synodu, który w uznaniu jego niezaprzeczonych zasług, jakie położył wobec rządu rossyjskiego jako denuncyant, nieodmówi mu pozwolenia żenienia się z tą kobietą“.

Wyjechał następnie do......, gdzie ja natenczas przebywałem i znowu zrobił donos, że tamże Polacy zbierają oręż i gotują się do zbrojnego powstania.

Gdy już miał wyjeżdżać z Syberyi, prosił generał-gubernatora, aby mu pozwolono wyjechać wprost do Ameryki, gdyż się obawia, że Polacy są mu wrogo usposobieni. Jednem słowem, tak u Polaków jaki Moskali, zażywał najnikczemniejszej opinii, jaką tylko człowiek mieć może.

Przejeżdzając przez Irkuck był o tyle bezczelnym, że poszedł do Mikołaja Epsteina, a ja przyjechawszy tam później, dowiedziałem się o tej jego bezczelności, i że został przez Epsteina za drzwi wyrzucony.

Jeszcze raz powtarzam, że zdaniem mojem i wszystkich zesłańców była opinia powszechna, że Żychliński chcąc wywołać powstanie na Syberyi, chciał się przysłużyć rządowi moskiewskiemu, i dla swej osoby wyjednać wszelkie możliwe bonifikacye. — Przed Polakami udawał patryotę polskiego, przed władzą rossyjską, patryotę rossyjskiego.

W Irkucku zaś powstanie nie dla innej przyczyny chciał wywołać, tylko dla tej, aby wydać wszystkich w ręce Moskali.

Tu pozwolę sobie po raz wtóry zwrócić uwagę, iż nie czynię tych zeznań tylko z mego osobistego przekonania, ale powtarzam opinię, jaka była u wszystkich o tym panu Żychlińskim.

Popularności używał tam tylko u pewnych mas, zesłanych tamże na deportacyę, (a więc nie więźniów stanu, tylko rzeczywistych zbrodniarzy, złodziei, morderców, podpalaczy i t. d. *Red*:) i mogę to nazwać nawet wielkiem szczęściem, iż przez zdemaskowanie Żychlińskiego zapobieżono wielkiemu nieszczęściu, do jakiegoby niezawodnie było przyszło, gdyby powstanie było wybuchło, Irkuck podpalono. Zwracam uwagę, że w Irkucku było nas przeszło 1500 zesłanych i gdyby przyszło do czynu, to awantura ta byłaby ściągnęła nieszczęście na zupełnie niewinnych. Nigdy też nie przypuszczałem, a tak samo inni, aby Żychliński miał na celu uskutecznienie tego powstania, dla wydobycia zesłanych z niewoli sybirskiej, gdyż wiedział o tem dobrze, że dostanie się do granicy Chin jest absolutnie niemożebne, lecz chciał przed zorganizowaniem wydać tych wszystkich, których w sidła swe byłby uwikłał. Że tak a nie inaczej rzecz się miała, najlepszy dowód na to jest ta okoliczność, iż Starostowie nasi powiadomieni na co się zanosi i co się święci, obawiając się przedewszystkiem zgubnych następstw dla całej kolonii, prosili o usunięcie z Irkucka tego niebezpiecznego człowieka, który nawet w opinii Moskali był niebezpiecznym waryatem nazywany a przez drugich „sumaszedszyj“ kuzyn króla pruskiego.

Następstwa donosów Żychlińskiego były takie, że zabroniono nam pisywać do rodzin, i zaledwie co pół roku wolno było listy wysełać. W tej chwili przypominam sobie, że zakomunikował nam sam komendant Zaborowski, że wskutek donosów Żychlińskiego, zajeżdżają konie i nie mogą sobie z nim rady dać, że i na niego robił donosy do gubernatora Dytmara, opowiadał również o tym liście, który się przypadkowo dostał do rąk Epsteina.

O bliższych szczegółach sądu, jaki był na Żychlińskiego złożony w sprawie Mitkiewicza, dziś po 20 latach przypomnieć sobie nie mogę; ale musiały być ważne powody, jeżeli sąd jednogłośnie postanowił udać się z prośbą do władz o wydalenie Żychlińskiego.

Jak niebezpiecznym człowiekiem był Żychliński, poświadczy ta okoliczność, że sąd odbywał się o 10 wieczór, a przed świtem były już konie gotowe, które go wywiozły.

Sama jenerał-gubernatorowa Dytmarowa ostrzegła mię, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Żychliński. Gdy Dytmarowa miała wyjeżdżać za granicę, przyszedł do niej Żychliński a opowiadając, że jest spokrewniony z królem pruskim przez Radziwiłłów, prosił o zabranie listów do rodziny. Pani Dytmar, opowiadając to, oświadczyła, że nie zna tak bezczelnego kłamcy jak Żychliński. Twierdził nawet przed nią, że jest także kuzynem królowej angielskiej i ma rozległe stosunki z najznakomitszemi osobami na dworach w Europie. Ta sama jenerałowa mówiła mi, że ma pełno listów od Żychlińskiego, które utrudniają mu wszelkie ludzkie stosunki z Polakami.

Wiem i to z doświadczenia, że gdym sobie kupił fuzyę, Żychliński dowiedziawszy się, natychmiast zadenucyował, że miała służyć do powstania, o czem mi sam komendant powiedział.

Na Syberyi przyszło do tego, że wszyscy się od niego odsuwali, a nawet miał tylko do czynienia z Moskalami i z deportowanymi.

Na tem zakończył Dr. Dybowski swe zeznania o Syberyi, w końcu zaś dodał co następuje: Obecnie po powrocie do kraju słyszałem z ust wiarogodnych, że Żychliński przyjeżdżał do Warszawy, wtedy, kiedy jakiekolwiek ruchy socyalistyczne się odbywały.

Dr. Dziędzielewicz jako zastępca oskarżyciela L. Żychlińskiego, tak ostatecznie przemówił do ławy przysięgłych:

„Zechciejcie panowie przysięgli o tem pamiętać, że jeżeli na wszystkie pytania co do winy p. Zielonki odpowiecie jednogłośnie, że nie jest winien, wtenczas p. Ludwik Żychliński zostanie z naszego społeczeństwa wyeliminowany“.

Sędziowie przysięgli po półgodzinnej naradzie zaprzeczyli wszystkie pytania i jednogłośnie orzekli, że p. Ludwik Zielonka — niewinien.

Trybunał skazał Ludwika Żychlińskiego na ponoszenie kosztów procesu.

Publiczność nader licznie zebrana, powitała ten wyrok oklaskami.

Tak się skończyły „**Syberiana**“ Ludwika Żychlińskiego, a teraz przychodzą na porządek dzienny — **Galiciana** — z Redaktorem Strażnicy polskiej.

* * *

Epilog.

Następnego dnia po zapadnięciu powyższego wyroku, w południe szła chodnikiem przez ulicę Teatralną, stara kobieta z młodziutką córką, opartą na jej ramieniu. Widocznie chora i blada, nagle wstrzymała się i oparła o mur, aby nie upaść; tej chwili nastąpił z ust gwałtowny wybuch krwi. Naturalnie powstało zbiegowisko, usiłując ratować nieszczęśliwą, wprowadzono ją do sieni. Zawezwano niebawem lekarza, a następnie w sadzono nieszczęśliwą do doróżki. Podtrzymywała, ją córka, wybuch krwi się powtórzył, obryzgał córkę, poczem doróżka ruszyła na ulicę Grodzickich do mieszkania chorej.

Podczas tej strasznej sceny zbliżył się mężczyzna i przypatrywał się o kilka kroków, z prawdziwie szatańskim uśmiechem. Poznano że był to mąż tej nieszczęśliwej — Ludwik Żychliński.

Publiczność zaczęła głośno szemrać, co spostrzegłszy ten potwór człowiek, dopadł doróżki i ulotnił się. Nieszczęśliwa ofiara walczy pomiędzy życiem a śmiercią.

Ostatnie wiadomości.

Drugiego zamachu na cara dokonał w Gatczynie oficer załogi. Strzelił, ale chybił.

OD REDAKCYI

do Szanownych Prenumeratorów.

Uważając Szanownych naszych pp. Prenumeratorów nie jako obcych, ale pokrewnych duchem przyjaciół politycznych, a więc jakby rodzinne koło, obowiązani też jesteśmy w myśl tę nic nie ukrywać, co dotyczy bytu pisma i jego rozwoju. Czyniąc więc temu naszemu obowiązkowi zadosyć, donosimy co następuje:

Rozpoczynając na nowo wydawnictwo „Strażnicy polskiej“ z dniem 1. Stycznia r. b., oznajmiliśmy tym obywatelom, którzy nas do tego obowiązku wezwali, że będziemy dalej pracować wytrwale, ale też oprócz pracy, bez innego wynagrodzenia, jak tylko moralnego, nie jesteśmy w możności ponosić niedobory na koszta nakładu.

Przyrzeczono nam pomoc, a gdy stała się czynem, umożebniła nam obronną ręką wydawnictwo „Strażnicy polskiej“ do końca kwartału i to w ten sposób, że 500 egzemplarzy szło dotąd właściwemi pewnemi drogami, za kordony, a przeszło 150 egzemplarzy różnym Towarzystwom polskim, braciom tułaczom, do Bułgaryi itd. Wszystkie te wysyłki szły bezpłatnie, a nawet połączone ze znacznymi kosztami.

Wydawnictwo to zyskało sobie powszechne uznanie u wszystkich tych, u których przewodnia idea narodowa nie została dotąd spaczona, ale wytrwała na odwiecznych podstawach.

Redakcya i opiekunowie „Strażnicy polskiej“ przyszli jednak do przekonania, że pismo, chociażby najlepiej i najściślej redagowane, nie odpowiada celowi, jeżeli wychodzi tylko dwa razy na miesiąc. Postanowiono więc od 1. Kwietnia r. b. wydawać „Strażnicę polską“ co tydzień, a w miarę funduszów napływających, dwa a nawet trzy razy tygodniowo, bez podwyższenia prenumeraty.

Chcąc to jednak uskutecznić, potrzeba kaucyi 3.000 złr.

Kaucya taka przyobiecaną została, ale później był tylko pewnik co do 1500 złr. Z końcem lutego r. b., gdy szanowny obywatel z prowincyi, który te 1500 zł. przyrzekł złożyć, przybył do Lwowa, zapytał go stanowczo Redaktor „Strażnicy polskiej“, czy może liczyć na jego przyrzeczenie, i odebrał taką odpowiedź:

„Gdy raz coś postanowiłem i przyrzekłem, tego nie cofam. Jak tylko Redakcya „Strażnicy polskiej“ znajdzie drugie 1500 złr., wtenczas **ja** moje 1500 złr. składam i proszę na to liczyć.“

Wkrótce potem znalazła Redakcya drugie 1500 złr. i bezzwłocznie zawiadomiła o tem Szan. obywatela na prowincyi, ogłaszając równocześnie, gdy nie było czasu do stracenia, w Nrze 6. „Strażnicy polskiej“ o zmianie dodatniej wydawnictwa z dniem 1. Kwietnia r. b.

Gdy „Strażnica“ była już pod prasą, spadł na nią jak piorun z jasnego nieba następujący telegram:

„Interesa nasze fatalne, teraz więc nie mogę.“

Redakcya znając stosunki, przeczuwała, że za tą niemożnością ukrywa się zupełnie coś innego, a więc napisała niebawem list, zwracając uwagę Szan. obywatela, na co naraża Redakcyę wobec Prenumeratorów i opinii publicznej, dla czego nie odmówił poparcia wprzód — jednem słowem, że się tak postępować nie godzi.

Przyszła więc odwrotnie odpowiedź, która przedstawia całą rzecz w prawdziwem świetle. Obywatel ofiarodawca, usprawiedliwiając się z początku „fatalnymi interesami,“ pisze nareszcie tak:

„Powtóre zamierzałem połączyć się z panem G. i S., których przekonania polityczne znam i podzielam, (?) ale nie z osobą mi obcą, niewątpliwie inaczej się zapatrującą na położenie kraju, i inne też drogi do podniesienia go z upadku uważającą za odpowiednie, niż Wasz uniżony sługa. Po trzecie, a co nie najmniej ważne, spostrzegłem w ostatnich Nrach „Strażnicy“, a mianowicie w jej wystąpieniu przeciw Spasowiczowi, którego przekonania najzupełniej pochwalam i podzielam, że między nami dwoma zachodzi zbyt wielka różnica zapatrywań na pewne bardzo ważne pytania, aby się dał kiedykolwiek most po nad rozdzielającą nas przepaścią zarzucić. Nie domyślałem się poprzednio, że się różnimy w tym punkcie, w tak trudny do pojednania sposób. Ostatnia nasza rozmowa w cukierni otworzyła mi oczy, a słowa „Strażnicy“ o Spasowiczu przekonały ostatecznie, że należymy do wręcz przeciwnych obozów, o czem siedząc w zakątku, nie ścierając się z opinią waszą, i lwowską prawie nigdy i nie propagując moich poglądów, przedtem wiedzieć nie mogłem.

Ponieważ mi zaś wiadomo, że właśnie ci ludzie, z którymi mię ściślejsze stosunki łączą, także się w wielu względach na tę kwestyę zgodnie ze mną zapatrują, a dziennik wasz będzie właśnie na ich zapatrywania z werwą mu zwyłą uderzał, przeto nie mógłbym bez sprzeniewierzenia się idei z nimi mnie łączącej, udzielać pomocy ich przeciwnikom, chociażby stosunki moje materyalne na to pozwalały, tem mniej zaś, gdy stanowczo zabraniają awanturować się dalej wobec zaawanturowania po same uszy.

Przy tej sposobności raczcie przyjąć wyrazy wysokiego poważania, z jakiem się kreślę, waszym sługą powolnym.“ X. X.

Odpowiedź ta zdaje się, że nie potrzebuje komentarza. My, t. j. Redakcya „Strażnicy polskiej“, czyniąc przeszkodę w odczycie p. Stanisł. Przyborowskiemu w sali ratuszowej, i zmusiwszy p. Włodzimierza Spasowicza, adwokata petersburskiego do powrotu z drogi do Lwowa, nie uczyniliśmy kroku tego dowolnie, ale spełniliśmy tylko obowiązek, włożony na nas przez liczne grono poważnych obywateli i patryotów ze stronnictwa Demokratycznego polskiego. Jest nam więc obojętnem, czy nam niektórzy dotychczasowi przyjaciele polityczni cofną rękę pomocy, bo nie wydajemy „Strażnicę polską“ dla zysku, ale dla niepokalanej idei narodowej. A my, i nasze stronnictwo nie pójdziemy nigdy w Moskale! — tak nam Boże dopomóż. A że nietylko w Galicyi, ale i dalej tak samo się zapatrują nieobałamuceni patryoci polscy, dowodzi wyjątek umieszczony w dzisiejszym Nrze z „Kuryera polskiego“, wychodzącego w Paryżu.

Moglibyśmy również cały szereg listów przedłożyć ze wszystkich trzech dzielnic ziemi polskiej, że wystąpienie nasze przeciw nieszczęsnemu szałowi wszystkich Spasowiczów, zyskało uznanie.

Powtarzamy jeszcze raz, jak pisze Kuryer Polski w Paryżu:

„Kto dokładniej chce poznać obywatelski czyn J. N. Gniewosza, niechaj przeczyta w Nrze 4. „Strażnicy polskiej“ artykuł pod tytułem „Kruki“.

To świadectwo moralności naszej wystarcza nam najzupełniej.

A teraz do rzeczy realnej, czyli dalszego bytu „Stażnicy.“

Mamy 1500 złr. na kaucyę, ale brakuje drugiej połowy, chociaż nie jest jeszcze wykluczonem, i prawie przekonani jesteśmy, że się znajdą patryoci, którzy drugą połowę złożą, mianowicie wobec faktu, że kaucya taka nie jest narażoną na żadną stratę, i przez nikogo nie może być podniesioną jak tylko przez tego, w którego ręku spoczywa kwit kasowy. Mamy nawet nadzieję, że następny Nr. „Strażnicy polskiej“ wyjdzie już po dniach ośmiu.

Trudność, że Redakcya dotąd nie uzyskała kaucyi, nie pochodzi ani z braku ofiarności obywatelskiej, ani też z braku zaufania do Redakcyi. Przyczyny należy szukać w dziwnie rozgałęzionym nacisku różnych klik nawet na ludzi najzacniejszych, najszlachetniejszych i najprawszych, którzy jednakowoż nie mają odwagi borykania się i narażania tym klikom, a my znając te miłe nasze krajowe stosuneczki, do czego takie krucze stada są zdolne, mimowoli musimy usprawiedliwiać — chociaż z żalem — ten brak cywilnej odwagi.

Zachodzi jednak jeszcze druga trudność, a mianowicie ta, że przyjaciele polityczni p. Spasowicza, którzy dotąd umożebniali wysyłanie tak znacznej liczby egzemplarzy bezpłatnych za kordony, cofnęli swoją dalszą ofiarność, a więc oprócz regularnego wydawania pisma dla szan. Prenumeratorów, nie będzie Redakcya w możności spełniania tego, co dotąd czyniła.

Wzywamy więc wszystkich naszych dotychczasowych prenumeratorów, ażeby na rzecz tych, którym należy się pismo to posyłać, krzepić ich ducha i dawać wskazówki zdrowe, sumienne, aby według sił swoich propagowali wydawnictwo „Strażnicy“, by w ten sposób z zysków mogły być pokrywane koszta nadzwyczajne.

Lwów dnia 1. Kwietnia 1887.

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

Na żądanie rozsyłamy kwitaryusze do zbierania prenumeraty.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.